

## „Proces” Jezusa

### GETSEMANI

Aby dojść z wieczernika na Górę Oliwną, najprościej było przejść most przerzucony ponad potokiem Tyropeon, a wiodący wprost do Świątyni, potem przejść esplanadę i wyjść Bramą Złotą. Ale nikt poza kapłanami nie mógł wejść w nocy na Miejsce Święte. Jezus więc i Jego uczniowie musieli zejść do niżej położonych dzielnic i obejść południowo-wschodni narożnik murów. Może szli tymi schodami, które ojcowie asumpcjonisci odkryli na swoim terenie; są to schody bardzo wygodne, o stopniach tak szerokich, że osły i wielbłądy mogą po nich swobodnie wchodzić i schodzić. W głębi wąskiej doliny Cedron toczył swe mętne wody. Dla nich to właśnie został nazwany Cedronem, co po hebrajsku znaczy „czarny” albo „ślony”; wody te płyną najwyżej przez cztery lub pięć tygodni wiosennych, ale w tym krótkim okresie huczą i grzmią przewalając się burzliwie i dopiero lato zmienia rzekę w suchy, skałami zjezony jar.

Miejsce, w którym schronił się Jezus tej ostatniej nocy, było posiadłością zasadzoną oliwkami: św. Marek i św. Mateusz nazywają ją Getsemani, to znaczy „prasa na oliwę”. Zapewne było to jedno z owych wielkich przedsięwzięć, jakich jeszcze dziś wiele widuje się w Palestynie: okoliczni plantatorzy przynoszą tu swoje owoce, a osioł zaprzężony do ruchomej belki obraca cierpliwie drewniane żarna.

Dziś w ogródku zbyt dobrze wygrabionym, otoczonym ukwieconymi grządkami sterczy osiem olbrzymich pni, wewnątrz prawie zupełnie pustych; właściwie jest to już tylko kora. Strzelają z nich jeszcze wątłe pędy, na których dojrzewają nieliczne oliwki. Nie ma najmniejszego prawdopodobieństwa, by te szlachetne szczątki ocieniały w swej młodości Jezusa, bo chociaż oliwka żyje prawie bez końca i chociaż na Korfu i w Mitylene znamy takie, które uchodzą za więcej niż tysiącletnie, to jednak jest pewne, że żadne drzewo nie mogłoby przetrwać Tytusowego oblężenia, zwłaszcza w tej okolicy, gdzie toczyły się najbardziej zażarte boje. Położona o 20 metrów od ogrodzenia podziemna kaplica o fioletowych – niestety artystycznie jakże słabych – witrażach wypełniona jest zapachem i lśnieniem setek żarzących się świec. Dziś

nie wierzymy już, by to właśnie było miejsce agonii, miejsce, gdzie rozpoczął się dramatyczny łańcuch wydarzeń pasyjnych, franciszkanie bowiem odkryli na terenie tego samego Getsemani ruiny bazyliki z IV wieku, która była wybudowana na pamiątkę godzin trwogi.

„Usiądźcie tu, Ja tymczasem odejdę tam i będę się modlił” – powiedział Jezus swym uczniom, skoro tylko weszli do ogrodu. „Módlcie się, abyście nie ulegli pokusie». (...) Wziąwszy z sobą Piotra i dwóch synów Zebedeusza, począł się smucić i odczuwać trwogę. Wtedy rzekł do nich: «Smutna jest dusza moja aż do śmierci; zostańcie tu i czuwajcie!» (...) A sam oddalił się od nich na odległość jakby rzutu kamieniem, upadł na kolana i modlił się tymi słowami: «Ojczy mój, jeśli to możliwe – dla Ciebie wszystko jest możliwe – niech Mnie ominie ten kielich! Jednak nie moja, lecz Twoja niech się stanie wola»”.

Dziwna, wstrząsająca godzina, opowiedziana przez wszystkich trzech synoptyków (por. Mt 26, 36–46; Mk 14, 32–42; Łk 22, 39–46). Tu, w tym głębokim cieniu noc musiała być zimna; po tamtej stronie Cedronu strzelały w górę mury Świątyni, niebieskie od księżyca, zdobne w kolumny krużganików. Huk potoku zlewał się w jedną całość z ciszą przerywaną jedynie miarowym nawoływaniem rzymskiej straży na wieżach fortu Antonia. Tu, o dwadzieścia kroków od swoich przyjaciół jest Jezus bardziej samotny niż na górze Dżebel Qarantal; tu bowiem, w chwili gdy przeznaczenie chwyta Go za gardło, ścierają się w Nim obie Jego natury w zmaganiach boleśniejszych niż wszystkie, jakie kiedykolwiek przeżył.

Jego uczniowie, ludzie zwykli i prości, usnęli. „Tak – powiedział przyszedłszy do nich – jednej godziny nie mogliście czuwać ze Mną? (...) Duch wprawdzie ochoczy, ale ciało słabe”. Potem wróciwszy w swą samotność powtarza ufne swe błaganie: „Ojczy mój, jeśli nie może ominąć Mnie ten kielich, i muszę go wypić, niech się stanie wola Twoja!”. „Pogrążony w udreće jeszcze usilniej się modlił, a Jego pot był jak gęste krople krwi, sączące się na ziemię”. „Wtedy ukazał Mu się anioł z nieba i umacniał Go”.

Krwawy pot, o którym wspomina jedynie Łukasz, lekarz, ujawnia nam w pełnym świetle ludzką naturę Chrystusa w tej godzinie słabości. Fizjologiczny fenomen hematidrozy jest znany: spotyka się go najczęściej wtedy, gdy natura wydobywa ze swych głębin najdziwniejsze objawy, między innymi na przykład w jednej chwili występująca siwizna. A teraz właśnie ludzka strona natury Jezusa chwyta nas za serce. Ten Człowiek osaczony śmiercią, wdychający ją razem z zapachem nocy, wysłuchujący jej w głuchym huku potoku nie może sprawić, by Jego ciało nie lękało się i nie buntowało: ma lat trzydzieści i musi umierać! Żadna scena w Ewangelii, nawet scena kuszenia, nie dociera tak głęboko do prawdy psychologicznej: ach, aż zbyt dobrze znamy to strwożone serce, ten umysł tak bardzo zepchnięty na bezdroża, że błaga Boga o cud, który byłby zaprzeczeniem i przekreśleniem całej Jego działalności! Gdyby Jezus nie był istniał, gdyby cała Jego historia była jedynie wytworem pracy hagiograficznej, czyż historycy ośmieliliby się wymyślić epizod, w któ-

rym Jezus ukazuje się nam tak nędzny, tak słaby? Męczennicy śpiewający podczas tortur – na przykład mała Blandyna z Lyonu – niewiele nas ucą lub ucą zbyt wiele, tak bardzo wyjątkowa zdaje się być podtrzymująca ich łaska. „Przykład Jezusa – pisze o. Lebreton – ukazuje nam, że Bóg nie potępia trwogi i słabości naszej natury i że najwyższa nawet cnota chrześcijańska może się zadowolić ich opanowaniem, nie twierdząc, że je niszczy”. Ale w tym dramatycznym epizodzie jest jeszcze coś innego, jest coś więcej niż wzruszające przyznanie się Jezusa do ludzkiej słabości. To zatrzwożone i udęczone ciało jest ciałem Boga; ta myśl, jakkolwiek wytracona z równowagi i blakająca się, wie jednak, ku czemu zmierza. Wielka św. Teresa tak pisze o pewnych stanach mistycznych, podczas których człowiek przeżywa rozpacz podobnych rozdarć: „Dusza nie otrzymuje pociechy ani z nieba, w którym jeszcze nie mieszka, ani z ziemi, do której już nie należy”. *Agonia*, greckie słowo użyte przez św. Łukasza, nie oznacza tylko – jak u nas – przedpokoju śmierci, wyraża także, i to w sposób silny, pojęcie walki, pojęcie dramatu. Tak pojął je Miguel de Unamuno nazywając jedną ze swych książek *Agonią chrześcijaństwa*; walka siły Boskiej ze słabością ludzką, walka duszy najbardziej prawej, jaka kiedykolwiek istniała, z mocą ciemności, z pokusą łatwizny i wycofania się, oto co ukazuje nam ta krótka scena. A pierwiastek ponadludzki jest tu tak oczywisty, że wszyscy lub prawie wszyscy artyści, którzy starali się chwilę tę odtworzyć, wydobyli z niej tylko efekty banalne, pełne sztuczności i deklamatorstwa; tyle osiągnęli i Falconet, i Chassériau, i Delacroix. Jedynie może Rembrandt w rycinie będącej tylko szkicem pełnym księżycowej poświaty i niezgłębionych pokładów mroku uchwycił coś z tej tragicznej wielkości. „Jezus – napisze Pascal – cierpi podczas swej męki cierpieniami zadanymi Mu przez ludzi, ale w swym konaniu cierpi cierpieniem, które zadał sobie sam: «turbare semetipsum». Jest to męka zadana nie ręką ludzką, lecz ręką wszechmocną, bo trzeba być wszechmocnym, aby ją znieść”.

Prawdziwe, najgłębsze znaczenie tej sceny leży jednak nie w tym, że jest ona świadectwem cierpienia i trwogi, lecz w tym, że jest świadectwem zgody i ostatecznego zezwolenia. Jezus udęczonej trwożą, przerażony wobec śmierci powtarza jednak w jakimś wzniosłym i wspaniałym bełkocie: „Ojcze, (...) nie to, co Ja chcę, ale to, co Ty [niech się stanie]!” Zjednoczenie Ojca i Syna jest tu doskonale widoczne. Jedna woła, jeden cel. Gdy Celsus, antychrześcijański polemista II wieku, będzie drwił, że dziwny to Bóg, który jęczy i lamentuje, zamiast cudem objawić nieprzyjaciółom swą siłę, przyznaje po prostu, że chrześcijaństwa absolutnie nie rozumiał. Ta słabość, to obrzydzenie i wstręt, o których mówi Ewangelia, a które udęczały Jezusa aż do mdłości, to uczucia dobrze ze smutnego doświadczenia znane grzesznikowi: „On to dla nas grzechem uczynił Tego, który nie znał grzechu...” – powie św. Paweł (2 Kor 5, 21), a o. Prat tak głęboko rzecz tę komentuje: „Grzech nie jest przeniesiony z ludzi na Chrystusa, ale z ludzi rozciąga się na Chrystusa, przedstawiciela natury ludzkiej. (...) W ustanowionym dla nas porządku Opatrzności, tym,

gdzie Odkupienie oparte jest na zasadzie solidarności, Jezus Chrystus musi być człowiekiem, aby odkupić ludzi, musi być poddany Prawu, aby poddanych Prawu wyzwolić, musi być członkiem rodziny grzeszników, aby grzeszników zbawić, musi być obleczony ciałem, aby zwyciężyć ciało na jego własnym terenie...”. Scena Getsemani ujawnia w pełni wszystkie zamierzenia Chrystusa, ukazuje cały sens Jego przyjścia na świat; Człowiek-Bóg bierze na swe ramiona ludzki grzech w tej właśnie chwili, gdy Jego śmierć ten grzech odkupi. Scena ta uszlachetnia także i wywyższa całą mękę i całą trwogę świata, nadając im sens.

Z dala słyhać już niewyraźne hałasy, jakieś zmieszane głosy i szcęk broni. Zapewne było widać czerwony odblask pochodni. Jezus powstał z klęczek i wrócił do swoich uczniów. Znowu spali: „Śpicie jeszcze i odpoczywacie? – mówi im – A oto nadeszła godzina i Syn Człowieczy będzie wydany w ręce grzeszników”. Szydercza ironia – tłumaczyli niektórzy zgryźliwi komentatorowie; ale nie: to była litość, nieskończona litość. Teraz zbawienie ich wszystkich było już tylko Jego sprawą, wyłącznie Jego, gdyż właśnie zwyciężył trwogę śmierci i grzech.

## POJMANIE

Judasz znał dobrze miejsce, gdzie Jezus miał spędzić noc: nie pierwszy to raz towarzyszyła tam swemu Nauczycielowi gromadka apostołów. Może skradając się za nimi i kryjąc za węglami murów śledził drogę swoich dawnych przyjaciół od wieczernika aż po Getsemani? Gdy był pewny swego, wrócił uprzedzić kapłanów i starszych Rady. Należało się spieszyć: najpierw aby zdążyć pojmać Jezusa w tym odosobnionym i ukrytym miejscu, po wtóre by całą rzecz skończyć, zanim zabrzmi oficjalne ogłoszenie rozpoczęcia Paschy. Judaszowi towarzyszyli pacholankowie ze Świątyni niosący latarnie i pochodnie, żołnierze, a także liczny tłum uzbrojony w miecze i kije.

„Zdrajca zaś dał im taki znak: «Ten, którego pocałuję, to On; Jego pochwyćcie!» Zaraz też przystąpił do Jezusa, mówiąc: «Witaj, Rabbi!» i pocałował Go. A Jezus rzekł do niego: «Przyjacielu, po coś przyszedł?» (Mt 26, 48-50; por. Mk 14, 43-45). „Judaszu, pocałunkiem wydajesz Syna Człowieczego?” Potem dodaje słowa tak głębokie, że może nawet Judasz ich nie rozumiał: „to jest wasza godzina i panowanie ciemności” (Łk 22, 48. 53).

Całowanie ręki mistrza przez uczniów było zwyczajem powszechnie przyjętym. Talmud powiada, że jest to zwyczaj obowiązujący. Jednak uporczywa tradycja sztuki ukazuje nam tu pocałunek w policzek; w swych freskach na padewskiej Arenie Giotto unieśmiertnił ohydny gest tego zwierzaka o niskim czole, o grubych, na pół otwartych ustach, z cichym, zjadliwym uśmieszkiem niegodnego księdza; ale nic nie pozwala nam uznać tych właśnie szczegółów za prawdziwe. Pocałunek to chytry, oburzający, prekursor tych

wszystkich zdradzieckich pocałunków, które w miłości ludzkiej są monetą obiegową, ale może sens jego jest mniej podły, gdyż kto wie, czy nie wskazuje na to, że w decydującej chwili jakiś nagły wyrzut sumienia nie pozwolił Judaszowi wskazać Chrystusa palcem i zawołać: Oto On.

Tu nasuwa się jedno pytanie: kto ponosi odpowiedzialność za pojmanie Jezusa? Pytanie to panuje nad całym przewodem sądowym aż po jego rozwiązanie. Która spośród dwóch legalnych władz, żydowska czy rzymska, dźwiga na sobie w oczach historii ciężar Chrystusowej śmierci? W każdym razie można powiedzieć co najmniej, że to pojmanie Jezusa nie rzuca bardzo korzystnego światła na ówczesne metody postępowania sądowego. Wyczuwamy w nim jakąś dziwną zjadłość, a przy tym jakieś zawstydzenie. Według opowiadania wszystkich czterech ewangelistów (por. Mt 26, 47-56; Mk 14, 43-52; Łk 22, 47-53; J 18, 2-12) można przypuszczać, że w pojmaniu brali udział żołnierze rzymscy: spotykamy się z wyrażeniami „kohorta” i „trybun” (po grecku *speira* nie znaczy „kohorta” w sensie jednostki wojskowej, oznacza tylko żołnierzy, wojsko, a *chiliarchos* jest tylko oficerem, nie zaś trybunem, który w Rzymie był prawie że generałem brygady). Mamy więc podstawy, by przypuszczać, że Rzymianie brali udział w tej czynności zapewne na prośbę władz żydowskich, ale nie wiadomo, czy na wyraźny rozkaz Piłata. Przeciwnie, cała odpowiedzialność zdaje się spadać na starszyzną żydowską. Św. Marek, św. Mateusz i św. Jan mówią wyraźnie, że gromada została wysłana przez najwyższych kapłanów i przez faryzeuszów. Kije zbirów przypominają nam podobne, o których wspomina Talmud mówiąc, że kapłani chętnie posługiwali się nimi przeciwko ludowi<sup>1</sup>. Nigdzie w Ewangelii nie ma mowy o jakimś formalnym rozkaze pojmania Chrystusa i trudno zrozumieć, jak Renan mógł pisać, że „silnie rozwinięte poczucie porządku i policyjnego konserwatyzmu przewodziło tym wszystkim poczynaniom”. Przeciwnie, w całej tej sprawie wyczuwamy jedynie nienawiść, strach i ciemne matactwa teologów: sam fakt, że użyto zdrajcy, aby aresztować Człowieka, który żył na oczach wszystkich, jest bardzo wymowny. Był to nawet środek nielegalny, ponieważ Prawo Mojżeszowe, zdaje się jedyne na świecie, w wyraźnie sformułowanym artykule Księgi Kapłańskiej zabraniało posługiwania się szpiczlami: „Nie będziesz czyhał na życie bliźniego” (Kpł 19, 16).

„Jezus (...) wyszedł naprzeciw i rzekł do nich: «Kogo szukacie?» Odpowiedzieli Mu: «Jezusa z Nazaretu». Rzekł do nich Jezus: «Ja jestem». (...) Skoro więc rzekł do nich: «Ja jestem», cofnęli się i upadli na ziemię” (J 18, 4-6). Trudno powiedzieć, czy czwarta Ewangelia, jedyna, która ten fakt przytoczyła, chciała go pokazać jako rodzaj cudu, jako ostatnie cudowne ujawnienie niezwyciężonej mocy Syna Bożego, czy też chciała jedynie pokazać odruch mimowolnego zdziwienia tych ludzi zaskoczonych spokojnym majestatem

<sup>1</sup> Por. wyżej, s. 127.